

Poza gniazdem. Polskie emigrantki w Kanadzie.



Kaszuby, Ontario, Kanada.

Anna Maria Jarochovska

Kanadyjski kraj pionierów, do którego płynęła większość polskich żon i narzeczonych w początkach XX wieku był przede wszystkim krajem mężczyzn. To oni stanowili dominującą większość mieszkańców nowo zakładanych miast i miasteczek, oni w pojedynkę lub grupami przybywali z Kanady wschodniej i ze Stanów Zjednoczonych, aby robić biznes, zakładać przedsiębiorstwa, organizować administrację miejską, otwierać nowe tereny pod osadnictwo, pracować w kopalniach, w transporcie, w obozach drwali... Oni nadawali styl pracy, ogólną atmosferę podniecenia możliwościami zrobienia dużych pieniędzy w krótkim czasie, oni otwierali nowe tereny i budowali koleje. Oni też nadawali charakter rozrywce istniejącej wówczas w Kanadzie zachodniej. Dla nich powstawały *saloons, pubs i bars* jak grzyby po deszczu, gdzie wyszynk legalnego i nielegalnego alkoholu i burdy pijackie należały do zwykłych widoków, a

spotkanie pijanych na ulicach nie było rzadkością. Poza pracą pito często i dużo i to było najczęstszą rozrywką po miastach i osiedlach. W *saloons i barach* było także sporo kobiet lekkiego prowadzenia, kwitła specyficzna prostytutka, typowa dla pionierskich obszarów Ameryki północnej. Sam fakt, że było znacznie więcej mężczyzn niż kobiet i że tysiące samotnych młodych mężczyzn nieustannie wędrowało po kraju, w którym ciężka praca fizyczna przeplatała się z okresami wolnego czasu, świąt, lub bezrobocia sprzyjał rozwojowi prostytutki. Kanada na zachód od Winnipegu długo była jeszcze tak dzika i pionierska, że wielu mężczyzn miesiącami, a nawet zdarzało się - latami, nie widziało białych kobiet w miejskim stroju. Nagłe pojawienie się sylwetki kobiecej w obowiązkowym kapeluszu i w rękawiczkach wzbudzało więc sensację.



Przybywające imigrantki nie liczyły się. Nie tylko były biedne i natychmiast

zabierane przez mężów do przygotowanych domów, niezależnie od tego, czy to były istotnie domy czy też ziemianki. Nie znały języka, były niepewne siebie, dziwacznie, nie po kanadyjsku ubrane i nie znały lokalnego *savoir vivre*. (...) Samotni imigranci zabiegali o żony w rozmaity sposób. Najczęściej pisali listy do dziewcząt znanych im jeszcze w Starym Kraju proponując sponsorowanie ich przyjazdów i małżeństwo. Tak powstało znane w ówczesnej Kanadzie i Europie określenie *mail order bride* (narzeczona z przesyłki pocztowej), która często mała, a nawet wcale nie znając swego narzeczonego natychmiast po przybyciu do Kanady brała z nim ślub i wyruszała na jego „farmę”. Ile było nieporozumień, ile niedobrych małżeństw i zawiedzionych nadziei wynikających z tej formuły małżeńskiej, nikt nie dociekał. Podobnie jak nikt nie pytał kobiety, świeżo przybyłej z polskiej wsi, stojącej przed *dugout* (ziemianką), która odtąd miała być jej domem; czy w tym prymitywie poradzi sobie z życiem i wychowaniem dzieci. Wiadomo jednak, że niektóre kobiety nigdy nie potrafiły się otrząsnąć z pierwszego szoku i razem z mężem pracować nad wspólną przyszłością. Związane z obcym sobie mężczyzną, w obcym i przerażająco prymitywnym buszu, miesiącami zupełnie samotne w swoich lepiankach czasami uciekały same nie wiedząc dokąd, czasami po prostu marły z głodu i wycieńczenia. (...) Przedmiotem łowów małżeńskich była każda dziewczyna, które pokazała się w preriach. Wielu mężczyzn uważało, że córki osadników preriowych były lepszym materiałem na żony, ponieważ znały już pionierskie *dugouts, sodhouses, shacks, shanties i bunkers* i potrafiły sobie radzić z niejedną robotą nieznaną, a nawet niewyobrażalną w Polsce. (...) Pierre Berton cytuje jako przykład rozmowę między zamożną i wykształconą Angielką Ellą a Constance Sykes, wystarczająco ekscentryczną, aby z ciekawości próbować przekonać się jak się naprawdę żyje kobietom na preriach kanadyjskich. Już podczas podróży statkiem do Kanady Ella Sykes dowiadywała się o trudnościach ich życia. Jedna z bogatych farmerek powracających z wizyty w Starym Kraju, opowiedziała jej swoją historię:

Pamiętam, że pytałam go o kolor tapety w naszej sypialni, ponieważ chciałam dobrać odpowiedni zestaw w łazience. On to pytanie wtedy zbył, ale nigdy nie zapomnę moich uczuć, kiedy zobaczyłam, że nasz dom to po prostu jednoizbowa drewniana chałupa kurtyną podzielona na dwie części i oczywiście bez żadnej tapety. To był straszny szok dla mnie. Ale teraz, kiedy jesteście bogaci, twoje

życie jest znacznie łatwiejsze – zapytała panna Sykes. Odpowiedź zdumiała ją. – Miałam mniej roboty kiedy zaczynałam moje małżeńskie życie jako biedna kobieta aniżeli mam teraz. Mówi się, że pasją farmera jest ciągle dokupowanie ziemi. Oni są temu gotowi wszystko poświęcić i dom i jego komfort nic dla nich nie znaczą. Mój mąż kupuje każdy akr, który może dostać i oczywiście zatrudnia najętych robotników do pracy na roli. A im więcej jest robotników, tym więcej roboty ma kobieta...



Maria i Antoni Andrzejewscy spacerują na ulicy w Edmonton (5 maj 1950 r.), fot. Kanadyjsko-Polskie Towarzystwo Historyczne, Edmonton, Kanada.



Czesława Kudela (w środku) z matką i ojcem. Z tyłu stoi siostra Maria, fot. Kanadyjsko-Polskie Towarzystwo Historyczne, Edmonton, Kanada.

W lecie 1940 r., jako pierwsza przybyła do Kanady grupa 18 polskich kobiet i dzieci złożona z rodzin najwyższych oficerów polskich sił zbrojnych oraz kilku dyplomatów. W krótkich odstępach czasu podążyły za nią dalsze grupy uchodźców polskich, zawsze związane z generalicją i polskimi elitami. Wszyscy oni otrzymali pozwolenia na tymczasowy pobyt w Kanadzie, aż do zakończenia wojny, po czym rząd kanadyjski oczekiwał ich powrotu do Polski. (...) W pierwszych dniach po przybyciu do Montrealu grupa nowo przybyłych Polek z dziećmi dowiedziała się, że zgodnie z zasadą „*pomóż sam sobie, a Bóg ci pomoże*” w Kanadzie nie czeka na nie żadna zorganizowana pomoc, i że po krótkim pobycie u zakonnic na przedmieściu Montrealu, muszą sobie same znaleźć mieszkanie i pracę zapewniającą im

przeżycie pierwszej kanadyjskiej zimy. Na szczęście bogate żony montrealskich notabli prawie natychmiast zainteresowały się *egzotycznymi uchodźcami z Europy, których mężowie tak dzielnie walczą u boku W. Brytanii* i Kanadyjski Narodowy Komitet do Spraw Uchodźców zawiązany jeszcze w 1938 r., w celu niesienia pomocy Czechom, Słowakom, a przede wszystkim Żydom uciekającym przed Hitlerem, zajął się z kolei Polkami. Komitet był charytatywną organizacją pozarządową założoną i finansowaną przez bogatych montrealskich przedsiębiorców i handlowców i dawał upust energii bogatym Kanadyjkom, którym presja społeczna owego czasu nie pozwalała na żadne zajęcia poza domem oprócz działalności charytatywnej. Właśnie ten Komitet znalazł rozwiązanie problemu dachu nad głową w postaci wielkiego, pięknego niezamieszkałego domu w Westmount, wówczas najbogatszego z miast konurbacji Montreal. (...)

Po zakończeniu wojny, w maju 1945 roku, polscy uchodźcy wojenni w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych z dnia na dzień przekształcili się w pierwszą masową polską emigrację polityczną na kontynencie północno amerykańskim. (...) Imigranci napływający do Kanady dzielili się regionalnie na dwie grupy. Przedstawiciele polskiego świata politycznego, intelektualnego i artystycznego, arystokracja oraz liczni ziemianie, którzy mieli już przyjaciół lub krewnych w Kanadzie wschodniej starali się pozostać w ich pobliżu, a szczególnie w Montrealu lub Toronto. Natomiast zdemobilizowani żołnierze i oficerowie bez prywatnych sponsorów kierowani byli przez władze kanadyjskie do prowincji zachodnich. Stąd wytworzyły się dwie grupy o różnych doświadczeniach imigracyjnych i o różnej dynamice życia. (...) Maria A. Jabłońska, matka znanego kanadyjskiego pianisty, Marka Jabłońskiego (urodzonego w Polsce na początku wojny) tak zaczyna opowieść o początkach życia ich rodziny w Kanadzie:

Wylądowaliśmy w Kanadzie w 1949 roku i zaraz jechaliśmy prosto do Edmonton, gdzie przyjaciel mego męża załatwił nam pracę jako pomoc na farmie. Oboje z mężem mieliśmy wykształcenie uniwersyteckie, ale tutaj to nic nie znaczyło. W tamtych czasach nie było możliwe uzyskanie imigracyjnej wizy kanadyjskiej bez podpisania kontraktu pracy na farmie albo w przypadku kobiet – służącej. Nawet trzy doktoraty nic by w tym zakresie nie zmieniły. Wprost przeciwnie, mogłyby się przyczynić do zrujnowania szansy otrzymania wizy. Dlatego najlepiej było udawać zwykłego robotnika. Kanada nie chciała przyjmować ludzi wykształconych poza

jej granicami, więc lepiej było nie przyznawać się do wyższego wykształcenia. Po kilku latach nagle przepisy zostały zmienione i głośzono potrzebę ludzi wykwalifikowanych w każdym rodzaju profesji i zawodu. Niestety dla nas ta zmiana przyszła za późno. Granice wieku przy przyjmowaniu do pracy w specjalności mego męża były ustalone i on był już za stary. Niemniej byliśmy szczęśliwi, że nie potrzebowaliśmy już pracować dla naszego farmera.

Dla rodzin, które zamierzały pozostać w Quebec'u, gdzie było dużo opuszczonych farm, był też możliwy wariant osadzenia na opuszczonej farmie. Farmy te położone zazwyczaj daleko od miast, na terenach nie najwyższej jakości były przeważnie w ruinie. Bez inwentarza żywego, bez elektryczności i często bez wody bieżącej były tak nieatrakcyjne dla Kanadyjczyków, że rząd umyślił osadzać na nich rodziny emigrantów, którzy byliby obowiązani pracować na nich do pięciu lat zanim gospodarstwo przeszłoby na ich własność z prawem ewentualnej sprzedaży. W ten sposób farma zostawała jako tako zagospodarowana, a rząd federalny zostawał zwolniony z odpowiedzialności za przeżycie pierwszych lat przez imigrancką rodzinę. Taką właśnie farmę w Abercorn otrzymała jako środek do życia rodzina hr. Zamoyskich, którzy chociaż w przedwojennej Polsce mieli ordynację rolną i rozległe dobra, ale przecież nie mieli pojęcia o tym jak się osobiście pracuje na roli. Mimo to na farmie w Abercorn przeżyli kilka lat zanim zdążyli się przenieść do Montrealu, gdzie Jadwiga Zamoyska jako jedna z pionierek polskiego sobotniego szkolnictwa poświęciła wiele lat swego życia. (...) Z podobnych „okazji” nabycia farmy na własność skorzystali niektórzy, bardziej profesjonalnie przygotowani ex-wojskowi z Armii Polskiej na Zachodzie, szczególnie jeśli ich żony były gotowe żyć i pracować na farmie. W Quebec'u na kilku takich farmach rozwinęli oni gospodarstwa specjalistyczne, inne zostały zamienione w przedsiębiorstwa agroturystyczne. (...) Rotmistrz Janusz Wiązowski zmienił swoją farmę w szkołę hippiczną dla młodzieży quebeckiej. Innym przykładem sukcesu połączenia rolnictwa z turystyką była założona przez małżeństwo T. Lintnerów „gospoda na wsi” - *lodge* dla gości z Montrealu. W pięknej okolicy *L'Estrie* pod miasteczkiem *Sutton* można było spędzić na niej *weekend* lub dłuższe wakacje. Jeszcze innym przykładem była farma pułkownika Wacława Makowskiego w okolicy *Covey Hills*, w nie mniej malowniczej, południowo-zachodniej części Quebec'u. Jeszcze innym przykładem jest osiągnięcie Władysława Żebrowskiego,

który znalazł swoje miejsce w Kanadzie nad Pacyfikiem. Zamieszkał on samotnie na górze Whistler położonej w pobliżu Vancouveru. Przejęty wspaniałym widokiem i doskonałymi warunkami dla zimowej turystyki namówił kilku znajomych inwestorów do zagospodarowania części góry Whistler jako ośrodka narciarskiego. Pomysł okazał się niezwykłym sukcesem i Whistler stał się znanym międzynarodowym ośrodkiem turystycznym na zachodnim wybrzeżu Kanady. (...)



1 kwietnia 1969 rok, emigracja do Kanady.

Pierwsze lata powojenne ciężko przeżywane przez polskich uchodźców były także trudne dla polskich artystów, którzy wówczas przybyli do Kanady. Ale wraz z gospodarczą *prosperity* i nową formułą społeczną, poprawiała się i dola artystów imigrantów. (...) W latach sześćdziesiątych polscy malarze podobnie jak wszyscy inni „artyści - etnicy” wyraźnie zmierzali ku lepszemu. Ich *vernisages* były licznie odwiedzane, częściej wystawiali swoje prace w galeriach i byli opisywani w gazetach. To samo dotyczyło innych gałęzi sztuki jak ceramika, produkcja kilimów, gobelinów itp. Od chwili kiedy Kanada znalazła własną formułę społeczną i

kulturalną, każda forma artystycznego wyrażania się Kanadyjczyków zarówno jak i neo-Kanadyjczyków lub imigrantów, którzy jeszcze nie otrzymali obywatelstwa kanadyjskiego, była uznana za twórczy wkład w kulturę kanadyjską. Znalazło to swój wyraz w ilości artystów przyjmowanych do Kanady jako emigrantów. (...) Od lat powojennych wykształcone Polki były dla niektórych Kanadyjczyków swoistą atrakcją seksualną. Jak wyraził to pewien wyższy urzędnik rządowy *...jeszcze nigdy nie spałem z kobietą, która ma doktorat i jestem bardzo ciekaw takiego przeżycia...*

Fragment książki „Poza gniazdem: wizerunki emigrantki polskiej w Kanadzie w XX wieku”, Polski Instytut Naukowy w Kanadzie 2006.

W dwóch światach jednocześnie

Dariusz Pawlicki

Dobrze pamiętam jak jeszcze niedawno, aby przenieść się w myślach w inne miejsce, odległe o wiele kilometrów, musiałem zamknąć oczy. Dopiero wtedy, gdy wizualna strona świata realnego, jakby przestawała istnieć, mogłem rozpocząć wizytę w owym „innym miejscu”. Przy czym to przenoszenie mogło odbywać się tylko wtedy, gdy stałem, leżałem bądź siedziałem. A obecnie może mieć miejsce także podczas wędrówki. Zmieniło się także i to, że owe wizyty w odległych miejscach, nie ograniczają się tylko do tego, co widzę. Towarzyszą im bowiem doznania słuchowe, dotykowe, zapachowe.

Ale sprawa odwiedzania w taki sposób miejsc przedstawia się teraz jeszcze o tyle inaczej, że są one odległe o tysiące kilometrów. Przebywam przykładowo na Manhattanie. A konkretnie na Morton Street, w środku Greenwich Village, którą zresztą lubię. I będąc tam, przypatruję się ceglanyim ścianom domów, okiennicom w niektórych oknach. Następnie chodnikom ułożonym z dużych płyt kamiennych. Ale nagle przenoszę się na bliską mi Suwalszczyznę. Owe przenosiny, odbywają się

prawie zawsze bezproblemowo, bez żadnego też okresu przejściowego. Po prostu w następnym momencie mogę znaleźć się, chociażby, na drodze leśnej wiodącej od Gościńca w stronę Przewrocia, a dalej ku Ciemnemu Lasowi nad Czarną Hańczą.



Dom przy Morton St., fot. D. Pawlicki.

Idąc po asfaltowej nawierzchni lub płytach kamiennych na wspomnianej Morton Street, odczuwam równocześnie pod butami miękkość piaszczystej drogi, a także, raz po raz, sztywność szyszki, świerkowej lub sosnowej. Pamiętam też wówczas o zwracaniu uwagi na wystające z ziemi grube korzenie. Zwłaszcza w jednym miejscu, gdzie wspomniana droga biegnie nieco w dół, jest ich wiele i są szczególnie grube. A za sprawą kolejnego deszczu, wypłukującego piasek i żwir, ukazują się następne. Przy tym niebo nad Greenwich Village, najczęściej błękitne z pojedynczymi lekkimi obłokami, jest równocześnie niebem nad lasem, przez który wędruję. Ów las znajduje się na północnych obrzeżach rozległej Puszczy Augustowskiej.

Wszystkiego tego, jak wspomniałem, doznaję na jawie. A przy tym moje oczy są otwarte. I wiem, gdzie przebywam ciałem i gdzie przebywam... duszą. No bo jeśli składa się na mnie ciało i dusza, a to pierwsze jest w jednym miejscu, więc w drugim musi być dusza; bo cóż innego?

Łatwość poruszania się po wspomnianym miejscu, jak i po innych na Suwalszczyźnie, wynika z wielokrotnego i długiego przebywania w nich wcześniej. A także, co jest chyba oczywiste, z tęsknoty za nimi. Myślę nawet, że tęsknota, w formie jakiegoś zadośćuczynienia, daje mi w zastępstwie możliwość takiego podróżowania. W zastępstwie, gdyż nie zdarzy się żaden cud, i póki nie przelecę samolotem nad Atlantykiem, kora drzewa, którego dotknę, będzie korą drzewa rosnącego na przykład na Washington Square, a nie nad jeziorem Pogorzelec.

O przenoszeniu się w konkretny punkt na Suwalszczyźnie decyduje nastrój, pragnienie znalezienia się właśnie w nim, a nie gdzie indziej. Ale niekiedy powodem jest, co innego. Może to być na przykład...

Lipcowy dzień był gorący. Czuć też było w powietrzu wstrętną wilgoć. Jeszcze gorzej było, gdy znalazłem się w podziemiach, na ruchliwej stacji metra o nazwie Union Square na Manhattanie. I właśnie wtedy dotarło do mnie wspomnienie styczniowego, wczesnopopołudniowego dnia. Mróz był kilkunastostopniowy, ale nie wiał wiatr.

Ruszyłem z moim kuzynem ku brzegowi jeziora Pogorzelec. Weszliśmy na powierzchnię zamarzniętego jeziora. Jakakolwiek ostrożność w tym wypadku była

najzupełniej zbędna, gdyż mieliśmy pod sobą przeszło trzydzieści centymetrów lodu. Śnieg sięgał za kostki i był dziewiczy. Jedyne w kilku miejscach natrafiliśmy na tropy saren, które ze wschodniego brzegu przeszły na przeciwległy.

Biały puch iskrzył się w słońcu. Nad sobą mieliśmy intensywnie niebieskie niebo z nielicznymi obłokami. W oddali, na tle ośnieżonego lasu widać było dwóch wędkarzy. Raz po raz wstawali z siedzisk i stawali przy przerębłach.

Odczuwałem radość, że idę w zimowy dzień, pod pięknym niebem, w temperaturze, którą lubię. A obok podąża mój kuzyn. Nie rozmawiamy, gdyż wszystko jest oczywiste. Wejście do klimatyzowanego wagonu spowodowało, że z nad jeziora Pogorzelec skutego lodem powróciłem do Nowego Jorku. I nastąpiło to w oka mgnieniu.

Szczególnie mocno utkwilo mi w pamięci przebywanie w dwóch światach, gdy kilka tygodni temu szedłem przez Ridgewood na Queensie. Przemierzałem bardzo czyste, nie tylko jak na Nowy Jork, ulice, przy których stały jedno-, dwupiętrowe domy. Przed wieloma spośród nich znajdowały się niewielkie ogródki. Rosło tam też wiele drzew. Może właśnie te drzewa sprawiły, że w myślach znalazłem się w zupełnie innym miejscu. Nie, raczej nie one; na Ridgewood jest bardzo wiele klonów. Natomiast tam, gdzie przeniosłem się duszą, zdecydowanie dominują sosny i świerki, zaś klony są nieliczne.



Gremzdówka, fot. D. Pawlicki.

Przestałem odczuwać twardość asfaltowej nawierzchni pod podszwami, gdy zszedłem z szosy. Dalej powędrowałem leśną drogą w stronę niewielkiego mostu na Gremzdówce. Ziemię pomiędzy pniami drzew pokrywał prawie jednolity kobierzec mchów. W miejscach, gdzie dominowały świerki, las wyglądał bajkowo, ale równocześnie tajemniczo. Wkrótce wyszedłem na otwartą przestrzeń. Przed sobą miałem Gremzdówkę, na której brzegach rosły liczne olchy. A po prawej stronie, spoza drzew i zarośli, przeziarał fragment jeziora Miałkiego.

Gdy oparłem się o poręcz mostku, zacząłem wpatrywać się w bystry nurt niewielkiej rzeczki. Za sprawą czystej wody widziałem piaszczyste dno, gęsto upstrzone fragmentami muszli małży i kamieniami rozmaitej wielkości. Raz po raz w polu widzenia pojawiały się ławice drobnych ryb i pojedyncze, polujące na nie okonie. Ale to mogły być też jakieś inne ryby. Nie mogłem im się dokładnie przyjrzeć, gdyż były bardzo ruchliwe. Postaci umieszczonych we wnętrzu niedużej, przeszklonej kapliczki zawieszanej na drzewie, tuż przy moście, nie widziałem wyraźnie. Ale to niewidzenie było spowodowane tym, że ich nie pamiętałem. Na własne oczy widziałem je tylko raz jeden. Ale utkwiała mi w pamięci, mniej więcej, wielkość i kształt brązowej kapliczki. I na jej obserwacji, to moje połączenie z bardzo odległym punktem na Ziemi, urwało się. Doszedłem bowiem do Fresh Poind Road. A panujący tam ruch, na chodnikach i jezdni, wymusił uwagę.

1 sierpnia przemierzałem Brooklyn z południowego-wschodu na północny-zachód. Dzień był gorący - około 34° C w cieniu, ale, na szczęście, wilgotność jak na Nowy Jork latem, była niewielka - 40%. Wysoką temperaturę odczuwało się szczególnie na rozległych, wybetonowanych placach, na które nie rzucały cienia drzewa ani ściany domów. Niewielu napotykałem ludzi, szedłem bowiem przez tereny zajęte przez liczne hurtownie, magazyny, niewielkie fabryki. I zupełnie niespodziewanie, jakiś szczegół dostrzeżony na trasie bądź jakaś myśl, która przemknęła mi wtedy przez głowę, sprawiła, że przeniosłem się w wiadome miejsce. Ale tym razem nie wspominałem tego, co kiedyś się wydarzyło.

Dzień jest chłodny. Kolory liści na drzewach wskazują na początek jesieni. Mam na sobie kurtkę, a pod nią cienki sweter. Jest późne popołudnie i słońce znajduje się już

nisko nad Lasem Pogorzelskim. Panuje cisza, jak to na Suwalszczyźnie ma miejsce już na długo przed zmierzchem. Panuje też całkowity bezruch. Ale przede wszystkim jest cicho. Tej ciszy mogę słuchać i słuchać. Takie dźwięki jak chrzęst żwiru pod podeszwami butów, tylko ją podkreślają.

Schodzę z drogi gruntowej prowadzącej z Jeziork do Krasnopola, przechodzę przez łąkę i wdrapuję się na wzgórze. Siadam na grubej gałęzi pod niską sosną pochyloną za sprawą północnego wiatru, który stale tam wieje. On też ustala kierunek fal na jeziorze Głuchym. Te fale rozbijają się u podnóża wzgórza. Dlatego na wąskiej piaszczystej plaży jest zawsze pas piany, szerszy bądź węższy. Odgłosy monotonnych uderzeń dochodzą do mych uszu. Ale poza tym dźwiękiem istnieje wyłącznie cisza. Ze wzgórza widzę samotne gospodarstwa rozrzucone nad brzegami jeziora. Każde z nich jest częściowo skryte pośród starych drzew i usadowione na niewielkim zniesieniu, w jakie obfituje północna Suwalszczyzna.

Robi się coraz chłodniej i jestem zmuszony zapiąć kurtkę pod samą szyję. Ale na... brooklyńskiej ulicy, jak było, tak i jest skwarnie. Dzisiaj jest jeszcze goręcej. Do tego w powietrzu jest chyba wyłącznie wilgoć. Niestety, ale kilka podjętych przeze mnie prób przeniesienia się nad skute lodem jezioro Wigry, spaliło na panewce. To, co zobaczyłem, prezentowało się niewyraźnie, było bardzo rozmyte. Wyróżniłem w tej swoistej mgłę jedynie zarysy obu wież kościelnych i wieży zegarowej na Półwyspie Klasztornym. Aby poczuć ulgę, próbowałem wyobrazić sobie owiewające mnie zimne powietrze. Ale i z tego nic nie wyszło. Zdesperowany, próbowałem pójść na całość i, mimo wszystko, wmówić sobie, iż jest bardzo zimno. Po czym ubrałem się, oczywiście w myślach, w sweter. Szybko jednak go zdjąłem, gdyż poczułem jeszcze wyższą temperaturę. Nie miałem już wątpliwości co do tego, że dziś moja dusza nie wyrwie się z Nowego Jorku. Najwidoczniej wilgoć, gdy jest jej nazbyt dużo w powietrzu, sprawia, że staje się ona za ciężka.

Poza gniazdem. Wizerunki emigrantek polskich.



Polscy emigranci w USA na początku XX w., fot. Wikipedia.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *„Poza gniazdem. Wizerunki emigrantki polskiej w Kanadzie w XX wieku”*, to źródłowe studium na temat kobiet emigrujących do Kanady. Dlaczego zainteresowała się Pani kobietami na emigracji, a nie np. emigracją z Polski w sensie ogólnym?



Maria Anna Jarochowska

Maria Anna Jarochowska: Temat kobiet na emigracji jest dla mnie ciekawszy. Jak dotąd mało kto interesował się tym jak one sobie radzą w Kanadzie, jak dają sobie radę z tęsknotą, z problemami asymilacji. Poza tym, jako długoletnia emigrantka dobrze poznałam problemy emigracji do Kanady, a każdy kraj ma sobie właściwe problemy.

JSG: *W książce oprócz losów kobiet z różnych środowisk i w różnych okresach, naszkicowała Pani bogate tło socjologiczno-polityczne, które wyjaśnia szereg decyzji związanych z poczuciem przynależności do nowego społeczeństwa, czy asymilacją w nowym kraju. Jak długo powstawała tak bogata w różne informacje książka?*

MAJ: Mniej więcej 10 lat chociaż, na tematy związane z zagadnieniami ekonomicznymi, politycznymi, społecznymi, psychologii społecznej i historii Kanady czytałam już wiele lat wcześniej, podobnie jak na tematy emigracji teoretycznej i praktycznej.

JSG: *Doktorat zrobiła Pani z nauk przyrodniczych, skąd zatem wzięło się u Pani zainteresowanie Kanadą i jej mieszkańcami oraz szeroko pojętą problematyką społeczną i psychologiczną?*

MAJ: W czasie pobytu w Polsce zrobiłam magisterium z ekonomii politycznej, doktorat z nauk przyrodniczych, ze specjalizacją z geografii i dyplom z bibliotekoznawstwa. W zakresie geografii specjalizowałam się w kilku

kierunkach: statystyki w geografii i geografii kulturalnej, którą następnie już w Kanadzie rozszerzyłam o antropologię społeczną, To jednak wymagało ode mnie uzupełnień z zakresu historii Kanady, socjologii i psychologii. Gdybym się tego nie nauczyła, nie mogłabym napisać „Poza gniazdem”.

JSG: *Za książkę „Kanada. Kraj i Ludzie” otrzymała Pani w 1961 roku stypendium postdoktoranckie z Canada Council, z którego Pani nie skorzystała, gdyż za odmowę zbierania informacji za granicą, nie otrzymała Pani paszportu. Proszę powiedzieć jak znalazła się więc Pani w Kanadzie.*

MAJ: W PRL-u był zawsze bałagan. Prawdopodobnie kiedy parę lat później składałam podanie o paszport turystyczny, aby odwiedzić dalekich krewnych, w urzędzie paszportowym nie połączono mojego nazwiska z moim poprzednim podaniem o paszport. Przyłynęłam więc na paszporcie turystycznym.

JSG: *Jakie były Pani doświadczenia, po postawieniu pierwszych kroków na kanadyjskiej ziemi?*

MAJ: W Kanadzie parę lat czekało na mnie roczne stypendium, przeznaczone na poznawanie przeze mnie całego kraju. Zatem ruszyłam w drogę, pociągami i autobusami zatrzymując się po drodze w różnych uniwersytetach. W Winnipeg dostałam propozycję zatrudnienia na stanowisku wykładowcy w departamencie geografii i po zakończeniu stypendium zaczęłam tam pracować. Z powodu bardzo zimnego winnipegowskiego klimatu przeniosłam się po kilku latach do departamentu geografii do Montrealu i tam przez 29 lat, aż do przejścia na emeryturę, uczyłam statystyki w geografii, geografii rolnictwa Quebecu, Kanady i świata oraz geografii kobiet w różnych kulturach świata (kobiety Indii, Chin, Azji południowo-wschodniej, itp.) Jakies 10 lat przed przejściem na emeryturę zaczęłam formułować swoje zainteresowania emigracją. Musiałam przygotować metodę badań i ustalić osiągalną dla mnie dokumentację. Po przejściu na emeryturę przenieśliśmy się z mężem do Brytyjskiej Kolumbii, bo tutaj klimat jest łagodniejszy.

JSG: *Czy trudno było Pani, nowej emigrantce, zdobyć pozycję naukową na kanadyjskich Uniwersytetach?*

MAJ: Nie, w czasie kiedy przybyłam do Kanady polityka imigracyjna była bardzo życzliwa dla imigrantów. Oczywiście potem musiałam tak samo pracować jak każdy profesor.

JSG: *Czy pogodziła Pani kulturę starego kraju z kulturą nowej ojczyzny?*

MAJ: Tak, czuję się zintegrowana ze społeczeństwem kanadyjskim, zrozumiałam i zaakceptowałam kulturę narodową kanadyjską, czuję się członkiem społeczeństwa, w którym się znajduję, ale wyrosłam w kulturze narodowej polskiej i nadal mam ją w sobie. Tam przeżyłam wojnę i byłam członkiem społeczeństwa, na którego ciele robiono eksperymenty komunistyczne. Tego się nie zapomina. Obchodzi mnie wszystko co dotyczy Polski i Kanady, ale mój dom jest w Kanadzie.

JSG: *Czy w dobie globalizacji, Internetu, tanich telefonów można mówić o wyobcowaniu na emigracji jako o zjawisku?*

MAJ: Można, bo globalizacja, telefon i Internet nie zastąpią kontaktów osobistych z rodziną i przyjaciółmi, chociaż zmniejszają nacisk wykorzenienia, a to właśnie wykorzenienie jest przyczyną, że czujemy się obcy.

Notka na temat książki:



Do tej pory brak jest opracowań na temat polskich kobiet na emigracji w Kanadzie. Lukę tę zapełnia praca prof. Marii Anny Jarochońskiej.

Posługując się licznymi wypowiedziami emigrantek, omawia ona po kolei cztery wielkie fale emigracji polskiej w okresie od 1900 do 2000 roku na tle ówczesnej kanadyjskiej polityki imigracyjnej, warunków ekonomicznych oraz stosunku społeczeństwa tego kraju do nowo przybywających Polaków. Autorka zarysowuje kolejno postacie wybitnych emigrantek i dziedziny ich działalności.

Praca jest podzielona na trzy zasadnicze części. W pierwszej omawiane są ogólne problemy związane z emigracją. W drugiej przedstawione są trudności związane z osiadaniem emigrantek na ziemi kanadyjskiej i godzenie się z tym faktem, w dużej mierze dzięki działalności społecznej. Trzecia część poświęcona jest ogólnokanadyjskim organizacjom kobiecym, a szczególnie Federacji Polek w Kanadzie.

Uzupełnieniem publikacji jest lista kobiet wyróżnionych różnymi odznaczeniami kanadyjskimi, polskimi, innych państw oraz organizacji polonijnych. Bibliografia oraz indeks ponad 300-tu nazwisk i pseudonimów ułatwiają odnalezienie źródła lub poszukiwanej osoby.

Maria Anna Jarochowska: *Poza gniazdem. Wizerunki emigrantki polskiej w Kanadzie w XX w.*, Polski Instytut Naukowy w Kanadzie - Biblioteka Polska im. Wandy Stachewicz, 2006 r.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, luty 2007.

Jest takie miejsce - czyli

o Archiwum Emigracji w Toruniu



Archiwum Emigracji, Toruń

Mirosław Adam Supruniuk

Przez dziesiątki lat, w archiwach i bibliotekach zagranicznych oraz w stworzonych na obczyźnie polskich instytucjach i kolekcjach prywatnych gromadzone były zbiory druków, rękopisów, pamiątek i innych materiałów polskich lub związanych z Polską. Jednym z powodów, dla których archiwa emigrantów w przeszłości nie trafiały do Polski była powszechna na obczyźnie wrogość wobec ustroju PRL, która nie oszczędziła instytucji naukowych i muzealnych. Jednocześnie, krajowe instytucje naukowe z reguły nie posiadały dostatecznych funduszy by kupować cenne rękopisy literackie na aukcjach czy od kolekcjonerów, co mogło sprawiać wrażenie zupełnego braku zainteresowania Kraju dorobkiem kulturalnym wychodźstwa. Wszystko to razem wywoływało w społeczności emigracyjnej obawy, których efektem była tendencja do ochrony posiadanych zbiorów w rękach prywatnych, przekazywania ich do placówek polonijnych lub sprzedawania (oddawania) instytucjom zagranicznym. Dlaczego, mimo to, w polskich instytucjach archiwalnych, bibliotecznych i muzealnych na obczyźnie, znajdują się tylko nieliczne archiwa emigrantów i instytucji życia kulturalno-społecznego działających poza Polską - nie sposób powiedzieć. I nie sposób zrozumieć. Być może, wbrew obiegowej opinii,

emigracja polska - zarówno twórcy kultury, jak i instytucje emigracji politycznej - nie przywiązywała specjalnej uwagi do zabezpieczania i gromadzenia spuścizn archiwalnych związanych z kulturą polską „w polskich rękach”, skupiając się głównie na opiece nad cennymi dokumentami i pamiątkami wojennymi i wojskowymi instytucji rządowych? Tym samym wiele bardzo ważnych dla kultury polskiej, emigracyjnych spuścizn literackich znalazło się w instytucjach niepolskich, głównie amerykańskich, żeby wymienić tylko zdeponowane w Beinecke Library na Yale University rękopisy Witolda Gombrowicza, Aleksandra Wata, Konstantego A. Jeleńskiego i Czesława Miłosza. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że niemal każda amerykańska instytucja naukowa gromadząca dokumentację europejską posiada rękopiśmienne polonica. Często nierozpoznane i nieuwzględnione w inwentarzach i katalogach.

Od wielu lat instytucje w Polsce starają się pozyskiwać cenne archiwalia emigracyjne znajdujące się w rękach prywatnych na obczyźnie. Większość czyni to z poczucia obowiązku, niektóre z próżności i dla splendoru. Tylko nieliczne są przygotowane do ich „zagospodarowania” naukowego. Ale tylko jedna instytucja w Polsce, od lat konsekwentnie gromadzi wszelkiego rodzaju archiwa i pamiątki emigracyjne (prasę, książki, dokumenty życia społecznego, muzykalia, nagrania filmowe i zbiory sztuki) z myślą o stworzeniu w kraju samodzielnego warsztatu dla badań naukowych. Tą instytucją jest toruńskie Archiwum Emigracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

*

Biblioteka Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, największego uniwersytetu w północnej Polsce, od połowy lat 90. kładzie szczególny nacisk na poszukiwanie i dokumentowanie dorobku kultury polskiej na obczyźnie. W tym celu powołano do życia pracownię archiwalno-badawczą pod nazwą Archiwum Emigracji, która gromadzi spuścizny pisarzy, ludzi nauki, publicystów i artystów emigracyjnych, ich księgozbiory, archiwa redakcji czasopism, oficyn wydawniczych i instytucji kulturalno-społecznych działających na emigracji w XX wieku. W instytucjach bibliotecznych i archiwalnych czy muzeach w Polsce, archiwalia emigracyjne stanowią fragment innych, najczęściej znacznie rozleglejszych i cenniejszych kolekcji rękopiśmiennych i bibliotecznych, i same nie tworzą osobnych zespołów. Archiwum Emigracji jest jedyną w Polsce instytucją naukową gromadzącą różnorodną

dokumentację do dziejów emigracji XX wieku w osobnej pracowni.

Archiwum nie powstało w próżni naukowej; uniwersytet toruński od wielu lat prowadził badania poświęcone literaturze emigracyjnej. Nie byłoby jednak Archiwum Emigracji bez przychylności i pomocy wielu wybitnych osobistości polskiego wychodźstwa, których bezinteresowne zaufanie i pierwsze cenne dary umożliwiły start i w szybkim czasie rozwój nowego centrum archiwalno-badawczego. Nie sposób nie wspomnieć dwojga największych Przyjaciół i Dobroczyńców Archiwum: Stefanii Kossowskiej i Jerzego Giedroycia; dzięki ich przychylności i wsparciu w rozmowach z ofiarodawcami, Archiwum Emigracji, w ciągu kilku zaledwie lat, pozyskało ponad 200 różnej wielkości kolekcji archiwalnych, bibliotecznych i artystycznych z całego „polskiego” świata, stając się jednym z najważniejszych ośrodków w Polsce dokumentujących dorobek kulturalny wychodźstwa polskiego w XX wieku. Archiwum Emigracji nie tylko gromadzi archiwalne, artystyczne i biblioteczne zbiory emigracyjne i dotyczące emigracji, dokumentuje relacje i wspomnienia, gromadzi też informacje o emigracyjnych zbiorach w kraju i za granicą oraz informacje o realizowanych pracach badawczych nad emigracją, a ponadto prowadzi własną działalność wydawniczą. To, obok organizowanych wystaw, seminariów naukowych, konferencji również sposób na popularyzowanie problemów związanych z emigracją polską.

Najważniejszą i największą kolekcją archiwalną w Archiwum Emigracji jest archiwum tygodnika literackiego „Wiadomości”, założonego i redagowanego w Londynie przez Mieczysława Grydzewskiego, a po jego śmierci w 1970 roku - przez Michała Chmielowca i od 1973 roku przez Stefanię Kossowską. Archiwum „Wiadomości”, liczące kilkadziesiąt tysięcy listów i rękopisów (ale też meble, pamiątki po redaktorach i dzieła sztuki) jest darem Stefanii Kossowskiej i było przyczyną powstania toruńskiego ośrodka. Wypada wyraźnie powiedzieć: archiwum „Wiadomości” to najcenniejsza kolekcja archiwalna związana z kulturą polskiej emigracji i nie sposób sobie dzisiaj wyobrazić jakichkolwiek badań bez korzystania ze znajdujących się w nim rękopisów wszystkich polskich pisarzy drugiej połowy XX wieku. Innymi cennymi archiwami instytucji są: archiwum księgarni Libella i Galerie Lambert z Paryża; archiwum Teatru „Syrena” z Londynu oraz zbiór dokumentów wydawnictwa Książnica Polska z Glasgow.

Najważniejszy ilościowo zbiór Archiwum Emigracji stanowią archiwa prywatne, naukowe, polityczne i literackie pisarzy, dziennikarzy, publicystów, artystów, ludzi teatru i wybitnych osobistości życia społeczno-kulturalnego wychodźstwa polskiego w XX wieku oraz badaczy emigracji z Polski. To one przyciągają do Torunia ponad stu badaczy z całej Polski rocznie. Spośród blisko 150 kolekcji warto zaznaczyć archiwa: Zdzisława Broncla, Michała Chmielowca, Edwarda Chudzyńskiego, Barbary Czaplickiej, Ryszarda Demela, Włodzimierza Drzewienieckiego, Łucji Gliksman, Natana Grossa, Waclawa Iwaniuka, Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej, Stefanii Kossowskiej, Mariana Kościałkowskiego, Jana Kotta, Janusza Kowalewskiego, Witolda Leitgebera, Leo Lipskiego, Róży Nowotarskiej, Zofii Romanowiczowej, Juliusza Sakowskiego, Olgi Scherer, Felicjana Sławoja Składkowskiego, Wiktora Trościanko, Jana Ulatowskiego, Wojciecha Wasiutyńskiego i Tadeusza Wittlina.

Wraz z archiwami i cennymi księgozbiorami historycznymi, Archiwum pozyskuje prace graficzne i malarskie, a nawet, choć rzadziej, rzeźbiarskie. Najczęściej są one częścią spuścizn pisarzy, wydawców, ludzi nauki albo fragmentem wyposażenia pomieszczeń redakcyjnych i księgarskich. W ten sposób trafiły do Torunia obrazy i rysunki Józefa Czapskiego, Jana Lebensteina czy grafika Krystyny Sadowskiej, będące wcześniej własnością Waclawa Iwaniuka, szkice Lebensteina w papierach Olgi Scherer, czy rysunki Feliksa Topolskiego, Zdzisława Czermańskiego i Rafała Malczewskiego oraz ceramiki Adama Kossowskiego, wchodzące w skład archiwum londyńskich „Wiadomości”. Jednak od samego początku Archiwum pozyskiwało również materiały dokumentacyjne, księgozbiory oraz kolekcje archiwalne związane bezpośrednio z artystami. I tak, w 1994 roku, redaktor paryskiej „Kultury” Jerzy Giedroyc podarował toruńskiemu uniwersytetowi, liczący prawie 2 tys. woluminów, cenny księgozbiór Józefa Czapskiego z Maisons-Laffitte. Wiele książek zawiera marginalia i rysunki znakomitego malarza, inne stanowią dokumentację wystaw Czapskiego we Francji, Wielkiej Brytanii i Polsce. Kilka miesięcy później, dzięki pomocy Stefanii Kossowskiej, Archiwum otrzymało w darze niemal kompletną dokumentację handlową i wystawienniczą paryskiej Galerie Lambert Kazimierza Romanowicza, najdłużej działającej (1959-1993) polskiej galerii na obczyźnie. Po 1996 roku zbiory sztuki w Archiwum Emigracji uległy wyraźnej jakościowej i ilościowej zmianie. W ciągu kilku lat trafiły z Londynu do Torunia duże archiwa i kolekcje prac artystów polskich tworzących na obczyźnie: Władysława R. Szomań-

skiego, Mariana Kościałkowskiego, Zygmunta Turkiewicza, Aleksandra Wenera i Mariana Kratochwila.

W początkach roku 2000 postanowiono położyć szczególny nacisk na gromadzenie prac artystycznych powstałych na obczyźnie zwracając się do przyjaciół Archiwum z prośbą o pomoc. Równocześnie rozpoczęto poszukiwanie i gromadzenie materiałów drukowanych, archiwalnych i fotograficznych dokumentujących działalność polskich artystów, marszandów, galerii i historyków sztuki na emigracji w XX wieku. Na szczególne wyróżnienie zasługują następujące dary: zbiór prac olejnych Marka Żuławskiego ofiarowanych przez Marylę Żuławską, które mają być wstępem do przekazania w przyszłości archiwum Żuławskiego do Torunia, podarowana przez Ryszarda Demela kolekcja rysunków, grafik oraz przede wszystkim pieczołowicie zebranych dokumentów na temat działalności grupy polskich malarzy studiujących i wystawiających w Rzymie (1945-1947) i później w Londynie (1947-2000) oraz najcenniejsza, jak dotąd, kolekcja ponad tysiąca prac i pamiątek po Konstantym Brandlu (dar Witolda Leitgebera, siostrzeńca artysty, historyka wojskowości z Londynu). We wrześniu 2001 roku utworzono w Archiwum Emigracji Gabinet Konstantego Brandla.

Galeria Sztuki Polskiej na Obczyźnie jest jedynym tego rodzaju zbiorem uniwersyteckim w Polsce, a dzięki współpracy z historykami sztuki UMK, jest poważnym warsztatem do badań historycznych. Wśród zgromadzonych prawie 10 tys. dzieł są prace artystów, których twórczość niemal w całości lub w większej części rozwijała się na emigracji i tych, którzy stali się emigrantami dopiero w latach 70. czy 80. ubiegłego stulecia. W Galerii są prace zaledwie pięciu „Kanadyjczyków”: Bronki Michałowskiej, Kazimierza Głaza, Rafała Malczewskiego, Wiliama Markiewicza i Krystyny Sadowskiej.

Archiwum Emigracji prowadzi badania naukowe samodzielnie oraz wspólnie z innymi ośrodkami w Polsce i na świecie. Od 1995 roku wydawana jest seria opracowań pn. „Archiwum Emigracji. Źródła i materiały do dziejów emigracji polskiej po 1939 roku”. Ukazało się w tej serii, nakładem Wydawnictwa Uniwersyteckiego, szesnaście tomów. Wśród nich *Ostatni romantyk. Wspomnienie o Józefie Łobodowskim* Waclawa Iwaniuka, w opracowaniu Janusza Kryszaka, laureata nagrody Turzańskich, oraz *Between Lvov, New York, and Ulisses' Ithaca. Józef*

Wittlin: poet, essayist, novelist, w edycji Anny Frajlich (wspólnie z Columbia University) – również laureatki Turzańskich. Archiwum Emigracji wydaje ponadto drugą serię: „literacką”, w której publikowana jest wspomnienia, poezja, eseistyka, felietonistyka oraz krytyka literacka powstała na obczyźnie. Ukazało się 11 książek, wśród nich szkice Stefanii Kossowskiej, Marii Danilewicz Zielińskiej, Czesława Miłosza i dramat Jerzego Pietrkiewicza.

W roku 1998 ukazał się pierwszy zeszyt rocznika „Archiwum Emigracji. Studia, szkice, dokumenty”. Czasopismo, którego pomysł powstał krótko po sprowadzeniu do Torunia archiwum „Wiadomości” i utworzeniu osobnej pracowni, redaguje zespół w składzie: Jarosław Koźmiński, Janusz Kryszak (red. naczelny), Wacław Lewandowski, Wojciech Ligeża, Krzysztof Pomian, Dobrochna Ratajczakowa, Anna Supruniuk oraz Mirosław A. Supruniuk (z-ca red. nacz.). Czasopismo jest miejscem publikacji wyników badań nad różnymi aspektami kultury polskiej na obczyźnie, swoistej dyskusji młodych krajowych badaczy studiujących historię emigracji z twórcami kultury i uczestnikami życia literackiego i społeczno-kulturalnego na wychodźstwie. Dyskusja owa, to studia i szkice pisane przez obie strony niegdyś „żelaznej kurtyny” na podobne lub uzupełniające się zagadnienia. Ale też próby opisanie i propozycje oceny wydarzeń, w których emigracja brała czynny udział lub które odcisnęły na niej swoje piętno. Tytuł czasopisma informuje też o innym celu stojącym przed redakcją „Archiwum”: publikacji niewielkich zbiorów dokumentów archiwalnych, wywiadów, korespondencji, zestawień bibliograficznych, ineditów literackich itp., słowem udostępnianiu zawartości archiwów tak krajowych, jak emigracyjnych. „Dokumenty” zajmują połowę każdego zeszytu, są to głównie korespondencje. Wartość dokumentacyjną mają też wspomnienia i wywiady oraz szkice biograficzne poświęcone zmarłym pisarzom i ludziom kultury.

„Archiwum Emigracji” jest jedynym w Polsce czasopismem w całości poświęconym studiom nad różnymi aspektami kultury polskiej na obczyźnie. Zainteresowanie jakie budzi oraz coraz większa liczba autorów, zwłaszcza młodych wstępujących dopiero na ścieżki nauki, pozwala mieć nadzieję, że będzie ułatwiało i zachęcało do podejmowania badań trudniejszych, choć także dających większą satysfakcję.

W roku 2001 Archiwum Emigracji po raz pierwszy przyznało Nagrodę czasopisma „Archiwum Emigracji” za pracę magisterską i doktorską na temat emigracji polskiej

po 1939 roku. Celem Nagrody jest promocja podstawowych badań naukowych nad różnorodnymi zagadnieniami związanymi z dziejami i dorobkiem wychodźstwa polskiego. Przyznawana jest za wybitne prace z dziedzin: literaturoznawstwo, historia, historia kultury i socjologia oraz historia sztuki.

Wyczerpujące informacje o zbiorach i działalności Archiwum Emigracji znajdują się w Internecie: http://www.bu.uni.torun.pl/Archiwum_Emigracji/

Archiwum Emigracji prowadzi badania i działalność wydawniczą dzięki opiece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika oraz wsparciu instytucji i osób prywatnych. Archiwum Emigracji zwraca się z prośbą o pomoc w gromadzeniu i uzupełnianiu zbiorów do wszystkich, którzy posiadają interesujące archiwalia, księgozbiory, fotografie lub zbiory pamiątek i sztuki związane z działalnością emigracji polskiej w XX wieku. Powierzone nam materiały zostaną opracowane i będą służyć do badań naukowych.



Archiwum Emigracji, Galeria, Toruń